

## **Dzieci kukurydzy** (Children of the Corn)

Przełożył: MICHAŁ WROCZYŃSKI

Burt nastawił radio na cały regulator, ponieważ zanosilo się na kolejną kłótnię, a on chciał jej uniknąć. Chciał jej uniknąć za wszelką cenę.

Vicky coś powiedziała.

- Słucham? – krzyknął.
- Ściszej! Chcesz, żeby mi bębenki w uszach popękały?

Najwyższym wysiłkiem woli powstrzymał się powiedzeniem tego, co cisnęło mu się na usta, i przyciszył radio.

Mimo że ich thunderbird posiadał klimatyzację, Vicky wachlowała się chustką, do nosa.

- Słuchaj, gdzie my właściwie jesteśmy?
- W Nebrasce.

Popatrzyła na niego obojętnie.

- Wiem o tym Burt. Wiem, że jesteśmy w Nebrasce. Ale gdzie dokładnie, do cholery, jesteśmy?
- Przecież to ty masz atlas samochodowy. Zajrzyj. Nie umiesz czytać?
- Bardzo śmieszne. Czy dlatego opuściliśmy płatną autostradę, żeby oglądać ciągnące się setkami kilometrów pola kukurydzy i podziwiać dowcip oraz mądrość Burta Robesona?

Zacisnął na kierownicy dłoń tak mocno, że mu kłykcie pobieleły. Doszedł do wniosku, że gdyby tego nie zrobił, mógłby całkiem odruchowo uderzyć siedzącą obok niego po prawej stronie była królową balów studenckich. cóż, ratujemy nasze małżeństwo, pomyślał. Tak, ale z równym powodzeniem moglibyśmy ratować podczas wojny skazaną na pacyfikację wioskę.

- Vicky – powiedział ostrożnie. – Odkąd opuściliśmy Boston, zrobiłem za kółkiem trzy tysiące kilometrów. I to tylko dlatego, że ty ani razu nie chciałaś prowadzić. Tak więc...
- Nie chodzi o to, że nie chciałam – odparła z przekonaniem Vicky. – Podczas długiej jazdy samochodem zawsze dostaję migreny i...
- I dlatego, kiedy spytałem cię, czy możesz mnie pilotować na bocznych drogach, ty odparłaś: „Pewnie Burt”. Dokładnie tak powiedziałaś: „Pewnie Burt”. A teraz...
- Czasami zastanawiam się, dlaczego w ogóle za ciebie wyszłam.
- Powiedziałaś jedno krótkie słówko.

Zacisnęła usta tak, że zsiniały jej wargi, popatrzyła na niego, po czym sięgnęła po atlas. Zaczęła go wściekle kartkować.

Popełniłem błąd, opuszczając autostradę, pomyślał posepnie Burt. Wprowadziło to wiele zamieszania, ponieważ aż do tamtej chwili udawało się im traktować siebie jak istoty ludzkie.

Podróż na wybrzeże stanowić miała ostatnią próbę uratowania ich małżeństwa. Pretekstem do wyjazdu stało się zaproszenie przysłane przez brata Vicky i jego żonę. Początkowo wiele rzeczy wskazywało na to, że plan się powiedzie; jednak od czasu opuszczenia płatnej autostrady wszystko zaczęło się psuć. Tak naprawdę, to sprawy między nimi przyjęły fatalny obrót.

- Autostradę opuściliśmy w Hamburgu, zgadza się?
- Zgadza.
- Najbliższa miejscowość to Gatlin – powiedziała. – czterdzieści kilometrów prostej, pustej drogi. Jak sądzisz, czy moglibyśmy się tam zatrzymać i coś zjeść? A może twój sztywny rozkład jazdy nie pozwala na to i przystaniemy dopiero o drugiej po południu, tak jak wczoraj?

Przeniósł wzrok z drogi na Vicky.

- Jak chcesz. Ale jeśli idzie o mnie, to uważam, że powinniśmy natychmiast zawrócić do domu. Tam spotkalibyśmy się z tym twoim prawnikiem. Nasz plan się nie powiodł...

Vicky odwróciła głowę i spojrzała przed siebie z napięciem. W jednej chwili na jej twarzy pojawił się wyraz zdumienia i strachu.

- Burt, uważaj, coś jest na drodze...

Popatrzył przez przednią szybę i dostrzegł, że to coś znika właśnie pod przednim zderzakiem t-birda. W sekundę później, zanim zdążył przełożyć stopę z pedału gazu na hamulec, rozległ się okropny łomot, najpierw pod przednimi kołami, a następnie pod tylnymi. Kiedy gwałtownie zahamował,

cisnęło ich do przodu i pędzący z szybkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę samochód zatrzymał się, zostawiając na asfalcie czarne smugi po oponach.

- Pies – szepnął. – Vicky, powiedz mi, że to był tylko pies.

Ona miała twarz bladą jak twaróg.

- Chłopiec. Mały chłopiec. Wybiegł z kukurydzy i... moje gratulacje, tygrysie.

Niezdarnie, po omacku, otworzyła drzwi auta, wychyliła się i zwymiotowała.

Burt siedział nieporuszony, sztywny, ręce wciąż zaciskał na kierownicy. Długo nie czuł nic z wyjątkiem intensywnego, okropnego zapachu nawozów sztucznych.

Znacznie później dopiero spostrzegł, że Vicky wysiadła z samochodu. Kiedy popatrzył we wsteczne lusterko, ujrzał, że żona zataczając się podchodzi do ciemniejącego na środku szosy czegoś, co wyglądało jak stos łachmanów. Zazwyczaj była bardzo elegancką i pełną wdzięku kobietą; w tej chwili jednak z tej gracji nie zostało nawet śladu.

Zabójstwo. Tak to się nazywa. Po prostu przez chwilę nie patrzyłem na drogę.

Wyłączył silnik i wyskoczył z kabiny. Wiatr szeleścił w bujnych, osiagających wysokość człowieka zaroślach kukurydzy; dźwięk dziwnie kojarzący się z oddechem jakiegoś żywego stworzenia.

Vicky stała nad stosem łachmanów i cicho szlochała.

Przebył połowę drogi dzielącej samochód od miejsca wypadku, kiedy kątem oka po lewej stronie dostrzegł pośród zieleni jaskrawą, czerwoną plamę – jaskrawą jak farba, której używa się do malowania stodół.

Przystanął i popatrzył bacznie na łąn kukurydzy. Pomyślał abstrakcyjnie, że w tym roku zboże obrodziło nad podziw obficie (każdy temat był dobry, żeby tylko odwrócić na chwilę uwagę od sterty szmat, które wcale szmatami nie były). Poszczególne, rosnące w równych rzędach obok siebie łądygi były już prawie dojrzałe. Gdyby ktoś przypadkiem zablądził w tym gąszczu, mógłby cały dzień błąkać się w zbitej masie zieleni, poszukując drogi wyjścia. W jednym miejscu symetria rzędów została zniszczona. Kilka złamanych i przekrzywionych roślin spoczywało na sąsiadujących łądygach. Ale dalej, spowity cieniem i prawie zupełnie ukryty przed ludzkim wzrokiem leżał...

- Burt! – wrzasnęła Vicky. – Może byś tu przyszedł i sam to sobie obejrzał! Potem będziesz mógł się chwalić koleśiom od pokera, coś upolował w Nebrasce. Czy nie...

Reszta jej słów utonęła w kolejnym spazmie szlochu. Cień Vicky rozlewał się dokładnie wokół jej stóp. Było prawie południe.

Kiedy wkroczył między rosnące gęsto obok siebie łądygi, ogarnął go chłód i zielonkawy półmrok. Farba do malowania stodół okazała się krwią. Wokół roznosiło się basowe, senne buczenie much, które siadały na czerwonej plamie, smakowały ją i odlatywały... zapewne po to, żeby podzielić się radosną wieścią z innymi owadami. Im dalej w głąb zarośli kukurydzy, tym więcej było na liściach posoki. Z całą pewnością krew nie mogła z drogi chlapnąć aż tak daleko.

Na koniec Burt dotarł do przedmiotu, który dostrzegł z szosy. Schylił się i podniósł go.

W tym miejscu kukurydza została najbardziej zniszczona. Kilkanaście łądyg było mocno przygiętych, a dwie kompletnie złamane; ziemia wokół naruszona i zryta. Wszędzie widniała krew. Zarośla zaszleściły i Burt, czując biegnący po krzyżu zimny dreszcz, szybko wycofał się na drogę.

Vicky wpadła w histerię: wykrzykiwała jakieś niezrozumiałe słowa, płakała, śmiała się. I kto by pomyślał, że wszystko to zakończy się w tak melodramatyczny sposób? – błysnęło Burtowi w głowie. Popatrzył na żonę z nienawiścią. Pojął, że on nigdy nie przechodził kryzysów związanych z własną tożsamością, nie miewał w życiu okresów przejściowych, nie dręczyły go wątpliwości i tym podobne rzeczy. Mocno uderzył Vicky w twarz.

Umilkła natychmiast i przeciągnęła dłonią po policzku w miejscu, gdzie czerwieniały już pręgi zostawione przez jego palce.

- Burt, pójdziesz do więzienia – oświadczyła poważnie.

- Nie sądzę – odparł i postawił na ziemi, tuż przy jej stopach, walizkę, którą znalazł na polu kukurydzy.

- Co to...?

- Nie wiem. Wydaje mi się, że należała do niego – wskazał palcem rozciągnięte, leżące twarzą do ziemi ciało.

Z wyglądu dzieciak miał nie więcej niż trzynaście lat.

Walizka była stara, zużyta, brązowa skóra mocno powycierana i miejscami świeciły w niej dziury. Związana została dwoma kawałkami sznurka do wieszania bielizny splątany nieporadnie w

„babskie” supły. Vicky pochyliła się, żeby je rozwiązać, ale widząc, że przesiąknięte są krwią, cofnęła rękę z odrazą.

Burt uklęknął obok ciała i ostrożnie przewrócił je na plecy.

- Nie chcę na to patrzeć – oświadczyła Vicky, ale wbrew własnej woli zerknęła w dół.

Wrzasnęła. Twarz chłopca była usmarowana ziemią i wykrzywiona w grymasie przerażenia. Miał rozerżnięte gardło.

Vicky zaczęła się chwiać, więc Burt chwycił ją w ramiona.

- Tylko nie zemdlej – powiedział bardzo spokojnym, wyważonym głosem. – Słyszysz? Tylko nie zemdlej.

Powtarzał to w kółko, aż Vicky zaczęła stopniowo dochodzić do siebie. Chwyciła go mocno za szyję. Wyglądali tak, jakby w samo południe, mając u stóp zwłoki dziecka, tańczyli na środku drogi jakiś powolny taniec.

- Vicky?

- Czego chcesz? – zapytała zduszonym głosem, tuląc twarz do jego koszuli.

- Wracaj do auta, wyjmij ze stacyjki kluczyki, schowaj je do kieszeni, a później przynieś mi z tylnego siedzenia koc i karabin.

- Karabin?

- Ktoś poderżnął mu gardło, a może teraz nas obserwuje.

Poderwała gwałtownie głowę i zmierzyła podejrzliwym spojrzeniem kukurydzę. Olbrzymie łany ciągnęły się jak z bicia strzelił aż po horyzont, opadając lub wznosząc się łagodnie wraz z krajobrazem.

- Myślę, że zabójca dawno już się stąd ulotnił, ale co nam szkodzi zachować ostrożność. No, idź już i zrób to, co ci powiedziałem.

Ruszyła na sztywnych nogach w stronę samochodu, a za nią posuwał się, niczym czarna maskotka, jej króciutki o tej porze dnia cień. Kiedy przez tylne drzwi wsunęła głowę do pojazdu, Burt przykucnął przy chłopcu.

Białe, znaków szczególnych brak. T-bird mógł wprawdzie dzieciaka przejechać, ale nigdy poderżnąć mu gardło. Podcięto je brutalnie i nieudolnie – każdy sierżant w wojsku dokonałby tego w sposób dużo bardziej elegancki – ale efekt był przerażający. Dzieciak wybiegł na jezdnię lud został wypchnięty tak, że ostatnich dziesięć metrów pola kukurydzy przeleciał prawie w powietrzu; martwy lub śmiertelnie ranny wpadł prosto pod samochód Burta Robesona. Jeśli nawet w chwili uderzenia jeszcze oddychał, to impet auta skrócił mu życie najwyżej o trzydzieści sekund.

Vicky poklepała męża po plecach, a Burt podskoczył jak rażony prądem.

Przez lewe ramie przerzucony miała brązowy, wojskowy koc, a w prawej dłoni ścisnęła pokrowiec z samopowtarzalnym karabinem. Odwracała głowę, starając się nie patrzeć na trupa. Burt odebrał od niej koc, rozłożył go na drodze i przetoczył ciało. Vicky wydała cichy, stłumiony jęk.

- Co z tobą? – zapytał, unosząc głowę. – Vicky?

- Nie martw się o mnie – odparła zdławionym głosem.

Zawinął zwłoki i dźwignął tłumok, klnąc w duchu obrzydliwy ciężar bezwładnego ciała. Trup wygiął się w kształt litery U i o mało nie wyslizgnął mu się z rąk. Burt wzmocnił chwyt i dowlókl się z ciężarem do t-birda.

- Otwórz bagażnik! – sapnął pod adresem żony.

Samochód wypełniony był sprzętem turystycznym, walizkami i prezentami. Vicky prawie wszystko to przeniosła na tylne fotele, a Burt wsunął ciało do bagażnika, po czym zatrzasnął klapę.

Odetchnął z ogromną ulgą, a potem rozejrzał się za żoną, która ściskając w dłoni futerał z karabinem, czekała przy drzwiach od strony kierowcy.

- Odłóż go na tył i wsiadaj! – zarządził Burt.

Popatrzył na zegarek i ze zdziwieniem skonstatował, że od chwili wypadku minął zaledwie kwadrans, choć jemu wydawało się, że upłynęły całe wieki.

- A co z walizką? – zapytała Vicky.

Burt wrócił do miejsca, w którym postawił ją na środku drogi, na samej białej linii, gdzie czerniała teraz niczym centralny obiekt na jakimś malowidle impresjonisty. Podniósł walizkę za wytartą rączkę i na chwilę zamarł w bezruchu. Odnosił nieprzyjemne wrażenie, że jest obserwowany. O czymś takim czytał wprawdzie w książkach, przeważnie w brukowych kryminałach, ale poważnie wątpił, czy w normalnym życiu jest to możliwe. Teraz już definitywnie uwierzył. Wydawało mu się, że w

kukurydzy czatują ludzie – wielu ludzi – którzy na zimno kalkulują, czy kobieta zdąży wyciągnąć z futerału broń i zacząć strzelać, zanim oni pochwyć jej męża, zawłoką go w spowite głębokim cieniem zagony kukurydzy i poderzną mu gardło...

Serce zaczęło mu bić jak młotem, więc biegiem wrócił do auta. Energicznie wyrwał tkwiące ciągle w zamku bagażnika kluczyki i wskoczył za kierownicę.

Vicky znów płakała.

Ruszyli z piskiem opon, więc po niecałej minucie we wstecznym lusterku nie było już widać miejsca wypadku

- Mówiłaś, że jak nazywa się najbliższe miasteczko? – zwrócił się do Vicky.
- Och... – Nachyliła się nad atlasem drogowym. – Gatlin. Powinniśmy w nim być za dziesięć minut.
- Czy jest na tyle duże, żeby mieć własny posterunek policji?
- Na mapie to tylko kropka.
- Ale konstabl na pewno będzie.

Jakiś czas jechali w milczeniu. Minęli stojący po lewej stronie szosy silos. Nic, wszędzie tylko kukurydza. Nie spotkali żadnego nadjeżdżającego z przeciwka pojazdu; nawet rolniczej ciężarówki.

- Vicky, czy w ogóle od chwili opuszczenia płatnej autostrady mijają nas jakiś wóz?

Myślała chwilę.

- Tak, traktor i samochód osobowy. Na skrzyżowaniu.
- Nie, chodzi mi o tę drogę; o siedemnastkę.
- Nie, chyba nie.

Wcześniej takie pytanie Burta stanowiłoby doskonały pretekst do serii uszczypliwych uwag i komentarzy. Teraz jednak Vicky w milczeniu obserwowała przez przednią szybę ciągnącą się po horyzont szosę z wymalowanym po środku białym pasem.

- Vicky, mogłabyś otworzyć tę walizkę?
- Myślisz, że jest w niej coś ważnego?
- A skąd ja to mogę wiedzieć? Może?

Kiedy zajęła się supłami (jej twarz przybrała przy tym dziwny wyraz – stała się pozornie wyprana z emocji, ale zaciśnięte wargi tworzyły cieniutką, białą kreskę; taką samą twarz miała jego matka, kiedy patroszyła kurczaki na niedzielny obiad), Burt ponownie włączył radio.

Emitowany przez lokalną rozgłośnię program, którego dotychczas słuchali, prawie całkowicie zniknął już z eteru i Burt zaczął powoli przesuwając po skali czerwony marker. Doniesienia rolnicze. Buck Owens. Tammy Wynette... Wszystko to odległe, ginące w szumie i trzaskach. I nagle, prawie przy końcu skali, z głośnika rozległo się wyjątkowo głośno i wyraźnie – zupełnie jakby usta mówiącego znajdowały się bezpośrednio w radiu umieszczonym na tablicy rozdzielczej – pojedyncze słowo.

- POKUTA! – zadudniło.

Zaskoczony Burt chrząknął, Vicky podskoczyła.

- ZBAWIENIA DOSTĄPIMY JEDYNNIE PRZEZ KREW JAGNIĘCIA – ponownie ryknął głos i Burt pospiesznie ściszył radio. No cóż, rozgłosnia musiała znajdować się bardzo blisko; tak blisko, że... Ależ naturalnie! Na horyzoncie, na tle błękitnego nieba górowała nad bezkresnymi łąkami kukurydzy trójnożna, czerwona, pajęczna konstrukcja. Maszt radiowy.
- Bracia i siostry, pokuta! To właśnie jest odpowiednie słowo – ciągnął dużo ciszej kaznodzieja. Z tła dobiegł chóralny szmer głosów: amen. – Niektórzy sądzą, że mogą przyjść na świat, żyć w nim, pracować i nie zostać przez ten świat splugawieni. Pokuta. Czy tego właśnie słowa uczy nas Bóg?

Znów pomruk ludzkich głosów:

- Nie!
- PANIE JEZU! – zagrzmiał głosiciel słowa bożego i ciągnął kazanie, wypowiadając frazy z opadającą lub wznoszącą się kadencją, która zniewalała niczym potężny rytm muzyki rockowej. – Kiedyż pojmą, że rozwiązaniem jest śmierć? Kiedyż pojmą, że zapłatę odbiorą dopiero po drugiej stronie? No? No? Bóg powiedział, że wiele jest pokoi w domu jego. Ale nie ma w nim miejsca dla cudzołożników. Nie ma miejsca dla lubieżników. Nie ma miejsca dla kalających kukurydzę. Nie ma miejsca dla homoseksualistów. Nie ma miejsca...
- Robi mi się niedobrze, kiedy słyszę takie bzdury! – warknęła Vicky.
- Co on powiedział? – zapytał Burt. – Co on powiedział o kukurydzy?

- Nie słyszałam.

Mozoliła się z drugim suptem.

- Wspomniał coś o kukurydzy. Na pewno!

- No, nareszcie! – sapnęła Vicky i otworzyła leżącą na jej kolanach walizkę.

Minęli właśnie tablicę drogową z napisem: GATLIN: 8 KM. JEDŹ OSTROŻNIE. UWAŻAJ NA NASZE DZIECI.

Znak z całą pewnością umieściła miejscowa organizacja opieki społecznej. W tablicy czerniało kilka dziur pochodzących od pocisków kalibru 22.

- Skarpetki – zaczęła wyliczankę Vicky. – Dwie pary majtek... koszula... pasek... krawat z... – Pokazała mu porysowaną spinkę. – Kto to jest?

Burt szybko spojrzął na przedmiot.

- Chyba Hopalong Cassidy.

- Aha.

Odłożyła krawat do walizki i znów zaczęła chlupać.

- Czy nie uderzył cię pewien dziwny szcegół w tym radiowym kazaniu? – zapytał po dłuższej chwili Burt.

- Nie. Już ci mówiłam, że jako dziecko nasłuchiwałam się wystarczająco dużo tych bzdur.

- Nie odniosłaś wrażenia, że miał bardzo młody głos? Mówię o tym kaznodziei.

Roześmiała się pozbawionym wesołości śmiechem.

- Nastolatek? I co z tego? Widzisz, to właśnie jest w tym wszystkim najobrzydliwsze. Wyławiają dzieci, kiedy te nie mają jeszcze ukształtowanych umysłów i osobowości. Doskonale wiedzą, jak sterować ich emocjami i uczuciami. Powinieneś być ze mną w takiej jednej urzędzonej w namiocie świątyni, do której siłą zaciągnęli mnie rodzice, ponieważ był tam... ktoś, kto miał mnie „zbawić”.

Posłuchaj. Była taka Baby Hortense. Śpiewające Cudo. Miała osiem lat. Śpiewała „Kiedyś, o Jezu, chodził po świecie”, a jej tata krążył z tacą pośród wiernych i mówił: „Sięgnijcie głębiej, nie zróbcie zawodu temu bożemu dziecku”. Był też Norman Staunton. Kiedy wygłaszał kazania o siarce i ogniu piekielnym, miał na sobie ubranko w stylu „Mały Lord Fauntleroy” i krótkie spodenki. Liczył sobie zaledwie siedem lat.

Kiedy Burt popatrzył na nią z niedowierzaniem, poważnie skinęła głową.

- Była nie tylko ta dwójka. W tym kieracie chodzi dużo, dużo więcej dzieci. Stanowią doskonały wabik. – Ostatnie słowo prawie wypluła. – Dziesięcioletnia Ruby Stampnell, która leczy wiarą. Grace Sisters – Miłosierne Siostrzyczki. Te zazwyczaj występują w aureolach z cieniutkiej folii i... och!...

Burt drgnął.

- Co to jest? – zapytał, spojrzął na żonę i szybko przeniósł spojrzenie na to, co trzymała w rękach.

Vicky z napięciem wpatrywała się w dziwny przedmiot. Gdy mówiła, po omacku grzebała w walizce i nie patrząc nawet, co wyciąga, wyjęła to na światło dzienne. Burt zatrzymał samochód, żeby lepiej się temu przyjrzeć. Vicky bez słowa wręczyła mu znalezisko.

Był to krucyfiks wykonany z łodyg kukurydzianych, niegdyś zielonych, teraz już zupełnie zeschniętych. Za pomocą kukurydzianych wąsów przymocowano do niego lilipuci kaczan, z którego pieczołowicie usunięto nożem część ziaren. Te, które zostały, tworzyły na żółtawym tle obranej, maleńkiej kolby sylwetkę ukrzyżowanego człowieka. Oczy miał z ziaren, które rozcięto wzdłuż tak, że do złudzenia imitowały źrenice. Rozciągnięte ramiona też zrobiono z ziaren, a nogi kończyły się maleńkimi ziarenkami uformowanymi z grubsza w kształt bosych stóp. Na samej górze na sinawym tle barwy kości widniały cztery litery: I. N. R. I.

- Coś wspaniałego! Przepiękna robota! – wykrzyknął Burt.

- Obrzydlistwo – odparła stanowczo głosem pełnym napięcia. – Wyrzuć to.

- Vicky, zapewne policja zechce to obejrzeć.

- Po co?

- Jak to, po co? Może...

- Wyrzuć to. Czy mogę cię o to prosić? Nie chcę mieć tej okropnej rzeczy w naszym samochodzie.

- Na razie położę go z tyłu. A kiedy już porozmawiamy z policją, to, w ten czy inny sposób, ale pozbedziemy się tego krucyfiks. Obiecuję. Zgoda?
- Ach, rób zresztą co chcesz! – krzyknęła. – Przecież i tak zawsze stawiasz na swoim!  
Zakłopotany Burt cisnął krucyfiks za siebie. Przedmiot wylądował na stosie ubrań. Wycięte w ziarnach kukurydzy oczy ukrzyżowanej postaci z uwagą wpatrywały się w lampkę w suficie t-birda. Samochód ruszył tak gwałtownie, że spod opon wyprysnęła fontanna żwiru.
- Oddamy policji zwłoki oraz tę przeklętą walizkę i będziemy mieć problem z głowy – oświadczył Burt.

Vicky nie odpowiedziała. Intensywnie wpatrywała się w swoje dłonie.

Dwa kilometry dalej bezkresne pola kukurydzy oddaliły się nieco od drogi, a ich miejsce zajęły farmy otoczone budynkami gospodarczymi. Na jednym z podwórek dostrzegli kury, które apatycznie grzebały w ziemi. Na dachach stodół widniały wyblakłe reklamy coca-coli i tytoniu do żucia. Minęli wysoką tablicę z napisem: ZBAWIENIE W JEZUSIE, a w chwilę później przydrożną kawiarnię, przed którą stał samotny dystrybutor z paliwem firmy Conoco.

Burt postanowił dostać się do centrum miasteczka, jeśli w ogóle coś takiego istniało. Gdyby go nie znaleźli, zamierzał wrócić do kawiarni. Kiedy już zostawili ją za sobą, Burt uświadomił sobie, że parking przed lokalem był kompletnie pusty. Stała na nim tylko stara, zdezelowana furgonetka; w dwóch kołach brakowało powietrza.

Vicky nieoczekiwanie zanosła się śmiechem; piskliwym, nieprzytomnym chichotem, który utwierdził jej męża w przekonaniu, że wpadła w histerię.

- Co cię tak rozbawiło? – zapytał.
- Tablice z napisami – wyjaśniła, ciężko łapiąc powietrze. Dostała czkawki. – Nie czytałeś ich? „Nikt nie stroi sobie żartów, nazywając tutejszych mieszkańców świętoszkami”... O, proszę, tutaj masz następny, bardzo zacy pęczek!

Znów zaczęła się histerycznie śmiać i przyłożyła dłonie do ust.

Każda tablica zawierała tylko jedno słowo. Znaki wspierały się na zbiegających od słońca i deszczu słupkach wbitych w piaszczyste pobocze drogi. Już na pierwszy rzut oka można było poznać, że tablice zostały ustawione dawno. Farba na nich była wyblakła i odchodziła płatami. Stały w odległości trzydziestu metrów jedna od drugiej.

Burt zaczął czytać.

CHMURA... W... CIĄGU... DNIA... SŁUP... OGNI... W... NOCY

- Zapomnieli o jednym – oświadczyła Vicky, ciągle krztusząc się idiotycznym śmiechem.
- O czym? – zapytał Burt, marszcząc brwi.
- O kremie do golenia Burma Shave \*.

Przycisnęła kłykcie obu dłoni do ust, żeby powstrzymać gulgoczący w gardle chichot, ale z krtni nieustannie wydobywał się jej śmiech, niczym piana ze wzburzonego piwa imbirowego.

- Vicky, dobrze się czujesz?
- Nic mi nie będzie... jak tylko znajdziemy się dwa tysiące kilometrów stąd, w słonecznej, grzesznej Kaliforni i od Nebraski oddzielać nas będą Góry Skaliste.

Pojawił się kolejny rząd tablic i oboje zaczęli je w milczeniu studiować.

BIERZCIE... I... JEDZCIE... OTO... CIAŁO... MOJE

Dlaczego to oderwane zdanie kojarzy mi się z kukurydzą? – zastanowił się Burt. Czyż nie takie właśnie słowa wypowiada kapłan, kiedy udziela komunii? Tak naprawdę nie pamiętał już, kiedy po raz ostatni był w kościele. Wcale by się nie zdziwił, gdyby ktoś mu powiedział, że w tych stronach opłatki robi się z mąki kukurydzianej. Otwierał właśnie usta, żeby podzielić się tą myślą z Vicky, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Przyszło mu do głowy, że na razie lepiej nie poruszać z żoną takich tematów. Niech się najpierw uspokoi.

Wjechali na szczyt wzgórza, skąd w dole ujrzeni Gatlin; trzy ulice na krzyż i rynek; wyglądało to wszystko jak plener do filmu o latach Wielkiego Kryzysu.

- Z pewnością znajdziemy tu biuro konstabla – oświadczył Burt, zastanawiając się, dlaczego widok tego bardziej przypominającego wiochę miasteczka dławi mu gardło strachem.

\* Bible Belt – potoczna nazwa bardzo purytańskich rejonów Stanów Zjednoczonych. Tereny te leżą w południowych i centralnych stanach USA.

\* Reklama tego kremu polegała na takim właśnie ustawieniu tablicy przy drogach i autostradach.

Minęli znak drogowy ograniczający szybkość do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, a zaraz za nim pojawiła się nadzarta rdzą tablica z napisem:

WITAMY W GATLIN, NAJSYMPATYCZNIEJSZYM MA-ŁYM MIASTECZKU W NEBRASCE I... NA CAŁYM ŚWIE- CIE! LUDNOŚĆ: 5431.

Po obu stronach drogi ciągnęły się przykurzone wiązy; większość drzew najwyraźniej cierpiała na jakąś chorobę. Minęli główny skład drewna i stację benzynową. W podmuchach upalnego wiatru leniwie obracały się tabliczki z cenami: ZWYKŁA: 35,9; WYSO- KOOKTANOWA: 38,9. Obok stała kolejna tablica: DIESEL NA TYŁACH STACJI.

Minęli ulicę Wiązową, ulicę Brzozową i w perspektywie pojawił się rynek. Ciągące się wzdłuż ulic domy były drewniane, kanciaste, funkcjonalne, a każdy z nich posiadał oszkloną werandę. Otaczały je spalone słońcem, pożółkłe i sprawiające przygnębiające wrażenie trawniki. Na Klonowej wylazł im na środek jezdnii kundel. Przez chwilę leniwie przyglądał się intruzom, po czym położył się na skraju drogi i oparł mordę na łapach.

- Zatrzymaj się - powiedziała Vicky. - Natychmiast się zatrzymaj.

Burt posłusznie zaparkował samochód przy krawężniku.

- Wyośmy się stąd. Zawracaj i jedziemy do Grand Island. To już niedaleko. Zrób to, o co cię proszę.

- Vicky, co ci się stało?

- Jak to, co mi się stało? - odparła nienaturalnie wysokim głosem. - Burt, to miasto jest puste. Poza nami nikogo w nim nie ma. Czy tego nie czujesz?

Tak, czuł coś. Czuł coś przedtem i czuł to również teraz. Nie- mniej...

- Tak ci się tylko wydaje - odparł niedbale. - W takich miejscowościach ludzie żyją gromadnie.

Wszyscy naraz są w parku, na wyprzedzi albo grają w bingo.

- Tu nikogo nie ma. - Słowa te wypowiedziała z osobliwą afektacją i patosem. - Przypominasz sobie stację benzynową?

- Przypominam, to ta przy składzie drewna. I co z tego? - odburknął.

Myślni błądził gdzie indziej. Słuchał tępego grania cykad buszujących w pobliskich wiązach, czuł zapach kukurydzy, ciężką woń róż i, oczywiście, wszechprzenikający fetor nawozów. Po raz pierwszy od chwili opuszczenia płatnej autostrady trafili do jakiegoś miasteczka. Do miasteczka w stanie, w którym nigdy dotąd nie był (jakkolwiek niejednokrotnie przelatując nad Nebraską boeingiem 747 należącym do United Airlines); i czuł, że wszystko tu w jakiś dziwny sposób jest w jak najlepszym porządku, a zarazem bardzo nie w porządku. Z całą pewnością natknął się na drogerię, w której można napić się za darmo wody sodowej, na kino o nazwie "Bijou" i szkołę imienia Johna Fitzgeralda Kennedy'ego.

- Burt, pamiętasz ceny? Zwykła kosztowała trzydzieści pięć dziewięćdziesiąt, a wysokooktanowa trzydzieści osiem dziewięćdziesiąt. Powiedz sam, ile lat upłynęło od czasów, kiedy w tym kraju płaciłeś tyle za paliwo?

- Co najmniej cztery - przyznał. - Ale posłuchaj, Vicky... - Jesteśmy w środku miasta, Burt, i nie ma tu żadnego samochodu. Ani jednego samochodu!

- Do Grand Island mamy sto dwadzieścia kilometrów. Będzie to wyglądało co najmniej dziwnie, że taki szmat drogi wlecemy ze sobą ciało dzieciaka.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Posłuchaj, podjedźmy po prostu do gmachu sądu... - Nie!

No właśnie, cholera jasna, no właśnie! Ujmując sprawę w kilku słowach, dlatego rozpada się nasze małżeństwo. Nie, za skarby chińskiego boga, nie! Będę gadała tak długo, aż spuchnę, ale na swoim postawie.

- Vicky - powiedział.

- Burt, chcę stąd odjechać. - Vicky, posłuchaj.

- Zawracaj. Jedziemy.

- Vicky, możesz mnie chwilę posłuchać?

- Posłucham, jak już ruszymy w przeciwną stronę. Jedź!

- W bagażniku naszego auta wieziemy zwłoki obcego dziecka! - ryknął i poczuł ogromną satysfakcję, że Vicky skuliła się ze strachu, że krzykiem zmył jej z twarzy ten cholerny wyraz samozadowolenia i pewności siebie. - Poderżnięto mu gardło - ciągnął już trochę ciszej. - Poderżnięto mu gardło i wypchnięto na drogę. A ja go przejechałem. Tak więc zamierzam teraz pojechać do sądu, czy diabli wiedzą dokąd, i złożyć zeznania. Jeśli chcesz od razu wracać na autostradę, wysiadaj i idź piechotą, a ja, potem zabiorę cię z drogi. Ale nie mów mi, że mam teraz zawrócić i jechać sto dwadzieścia kilometrów do Grand Island, tak jakbyś- my mieli w bagażniku worek śmieci. To jest czyjś syn i dlatego, zanim zabójca zdąży dać nogę, chcę powiadomić policję.

- Ty skurwysynu! - krzyknęła, a w oczach stanęły jej łzy. - Co ja tu z tobą robię?

- Nie wiem - odparł. - Naprawdę nie wiem. Ale wszystko jest do naprawienia.

Skierował samochód w górę ulicy. Na dźwięk pisku opon kundel uniósł na chwilę łeb, po czym znów położył go na łapach.

Minęli ostatnią przecznicę dzielącą ich od rynku. U zbiegu ulic Głównej i Miłej ta pierwsza rozdzielała się na dwa pasma. Był to główny skwer miasta: porośnięty trawą park, w środku którego ustawiono estradę. Po drugiej stronie ryneczku, gdzie oba pasma ponownie się zbiegały, widniały dwa wyglądające bardzo oficjalnie budynki. Burt dostrzegł na jednym z nich napis: URZĄD MIEJ- SKI. GATLIN.

- Jesteśmy na miejscu - oświadczył. Vicky z uporem milczała.

Kiedy znaleźli się w połowie rynku, Burt nieoczekiwanie za- trzymał samochód przed barem szybkiej obsługi.

- Dokąd się wybierasz? - spytała zaniepokojona Vicky, kiedy otworzył drzwi auta.

- Dowiedzieć się, co porabiają wszyscy mieszkańcy miasteczka. Nie widzisz napisu: "Otwarte"?

- Chyba nie zamierzasz zostawiać mnie tutaj samej?

- Więc chodź ze mną. Przecież nikt cię siłą w samochodzie nie trzyma.

Otworzyła drzwi po swojej stronie i, zanim Burt zdążył wysiąść i obejść auto, stała już na chodniku. Ujrzał jej przeraźliwie bladą twarz i przez chwilę czuł wyrzuty sumienia.

Cholerne wyrzuty sumienia.

- Słyszysz? - spytała, kiedy do niej dołączył. - Co?

- No właśnie, nic. Żadnych samochodów, ludzi, traktorów. Nic.

I wtedy, zza rogu ostatniej przecznicy, dobiegł ich piskliwy, radosny, dziecięcy śmiech.

- Słyszę dzieci - odparł. - A ty nie? Popatrzyła na niego z zakłopotaniem.

Otworzył drzwi lokalu. W twarz uderzyła go fala suchego, aseptycznego powietrza. Podłogę zalegała gruba warstwa kurzu, a niklowany szynkwias był zmatowiały. Drewniane skrzydełka umieszczonych pod sufitem wentylatorów trwały w bezruchu. Puste stoliki. Puste stolki przy barze. Za kontuarem rozbite lustro. I jeszcze coś... zmarszczył brwi i dłuższą chwilę się zastanawiał.

Ależ tak! Kraniki od dystrybutorów piwa zostały wyłamane i rzucone niedbale na ladę.

- Wszystko jasne. Pytaj, ile dusza zapragnie - zakpiła Vicky. - Przepraszam pana bardzo, czy byłby pan uprzejmy poinformować mnie...

- Och, zamknij się! - burknął bez przekonania Burt.

Stali w pokrytym kurzem barze rozświetlanym jaskrawym, słonecznym światłem wpadającym przez wielkie okna i Burt ponownie odniósł paskudne wrażenie, że ktoś go obserwuje. Pomyślał o zwłokach chłopca w bagażniku i o wysokim, piskliwym śmiechu dzieci. Bez żadnego powodu przyszło mu do głowy króciutkie zdanie, które w jakiś mistyczny sposób zaczął w myślach powtarzać: Ujrzyć niewidzialne. Ujrzyć niewidzialne. Ujrzyć niewidzialne...

Powędrował wzrokiem do przypiętych pluskiewkami do ściany za barem poźółkłych kart z jadłospisem: CHEESEBURGER - 35 centów; NAJLEPSZA NA ŚWIECIE KAWA JAWAJSKA - 10 centów; CIASTO TRUSKAWKOWO-RABARAROWE - 25 centów; DANIE SPECJALNE: SZYNKA W SOSIE SZPI- KOWYM Z TŁUCZONYMI KARTOFLAMI - 80 centów.

Kiedy po raz ostatni widział w barze takie ceny? Vicky miała gotową odpowiedź na jego problem.

- Spójrz na to - odezwała się ostro, wskazując wiszący na ścianie kalendarz. - On już tu wisi od dwunastu lat.

Wybuchnęła chrapliwym śmiechem.

Burt zbliżył się do kalendarza. Na zdjęciu dwóch chłopców kąpało się w stawie, a rezolutny psiak porwał im ubrania. Pod zdjęciem widniał napis: Z POZDROWIENIAMI OD SKŁADU DREWNA I ARTYKUŁÓW ŻELAZNYCH W GATLIN. *Wy zepsujeta, My naprawim.*

Karta kalendarza pochodziła z sierpnia tysiąc dziewięćset sześć- dziesiątego czwartego roku.

- Nie rozumiem... - Zająknął się. - Ale jestem pewien...

- Jesteś pewien! - krzyknęła histerycznie. - Jasne, że jesteś pewien! Na tym częściowo polega twój problem. Całe życie byłeś pewien!

Ruszył w stronę wyjścia. Vicky nie odstępowała go na krok.

- Dokąd się wybierasz?

- Do urzędu miasta.

- Burt; dlaczego zawsze jesteś taki uparty? Przecież sam widzisz, że coś jest tutaj cholernie nie w porządku. Nie możesz tego faktu po prostu przyjąć do wiadomości?

- Wcale nie jestem uparty. Chcę się tylko pozbyć tego, co mamy w bagażniku.

Wyszli na ulicę. Burta ponownie uderzyła cisza panująca w miasteczku i przenikający wszystko zapach nawozów. Nigdy nie myśli się o tym zapachu, kiedy smaruje się masłem kaczan kukurydzy, soli go i wbija weń zęby. Dar słońca, deszczu, stworzonych przez człowieka fosfatów i zdrowej dawki krowiego łajna. Ale przenikający to miasteczko zapach w jakiś nieuchwytny sposób różnił się od woni, jakie Burt spotykał na rolniczych terenach w farmach na północy stanu Nowy Jork. O odorze nawozów organicznych można powiedzieć wiele, ale kiedy roztrząsacz rozwozi po polu gnój, powietrze przesycza prawie rozkoszna woń. Nie jest to zapach najdroższych perfum - niech Pan Bóg broni! - ale kiedy w wio- senny wieczór wiatr niesie znad świeżo zaoranych pól ów zapach, niesie radosną nowinę: zima minęła na dobre, a wrota szkół za około sześć tygodni zatrzaska się i przyjdą letnie wakacje. W świadomości Burta zapach ten ściśle związany był z innymi aromatami, które przewyższały woń najlepszych perfum: z zapachem tymotki, koniczyny, wilgotnej ziemi, malw i dereni.



Ale tutaj jest inaczej, myślał. Zapach jest bardzo podobny, a jednak inny. Miał w sobie jakąś przyprawiającą o mdłości, chorobliwą~ słodcz. Prawie jak odór wydzielany przez trupa. W Wietnamie, gdzie pełnił między innymi funkcję sanitariusza, Burt bardzo dobrze poznał ten zapach. W samochodzie pogrążona w milczeniu Vicky trzymała na podołku kukurydziany krucyfiks i gapiła się w niego w skupieniu. Burt bardzo nie lubił, kiedy jego żona patrzyła w ten sposób.

- Odłóż to - powiedział.

- Nie - odparła, nie odrywając oczu od krucyfiks. - Ty prowadzisz swoją grę, a ja swoją.

Bez słowa włączył bieg i ruszył w stronę najbliższego skrzyżowania. Nieczynne światła drogowe wisiały nad jezdnią, kołysząc się lekko w podmuchach wiatru. Po lewej stronie zamajaczył schludny biały kościół. Trawa wokół niego była równo przycięta, a wzdłuż wyłożonej kamiennymi płytami alejki wiodącej do wejścia ciągnęły się bardzo starannie utrzymane rabaty z kwiatami. Burt zatrzymał samochód.

- Co robisz?

- Chcę się tu rozejrzeć - odparł. - To jedyne miejsce w mieście, gdzie nie zalega dziesięcioletnia warstwa kurzu. Popatrz na tablicę ogłoszeniową z wypisanymi tematami kazań.

Posłusznie spojrzała we wskazanym kierunku. Pod szkłem widniał starannie wykaligrafowany napis: POTĘGA I MIŁOSIERDZIE TEGO, KTÓRY PRZECHADZA SIĘ ZA RZĘDAMI. Kazanie zostało wygłoszone dwudziestego czwartego lipca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku - była to poprzednia niedziela.

- Ten, Który Przechadza Się Za Rzędami - mruknął Burt i wyłączył silnik. - To chyba jedno z dziewięciu tysięcy używanych w samej tylko w Nebrasce imion Boga. Idziesz?

Na twarzy Vicky nie pojawił się nawet cień uśmiechu. - Nie.

- Dobrze. Jak chcesz.

- Nie byłam w kościele od czasu, kiedy opuściłam dom rodzinny, a już na pewno nie chcę wchodzić do tego kościoła i nie chcę przebywać w tym mieście. Śmiertelnie się boję. Burt, czy nie możemy po prostu stąd wyjechać?

- Zajmie mi to tylko minutę.

- Burt, mam zapasowe kluczyki. Jeśli nie wrócisz za pięć minut, odjadę i zostawię cię tutaj na pastwę losu.

- Jak mówię, że minutę, to minutę, proszę pani.

- Niemniej ostrzegam, że zrobię to, co mówię. Chyba że jak zwykły bandzior wydrzesz mi z torebki te kluczyki. Wiem, że jesteś do tego zdolny.

- Ale w głębi serca nie wierzysz, że mogę coś podobnego zrobić, prawda?

- Nie.

Jej torebka leżała między nimi. Chwycił ją. Vicky krzyknęła i próbowała jeszcze złapać za pasek, ale Burt był szybszy. Bezwstydnie, nie facygując się nawet, żeby poszukać kluczyków, po prostu wywrócił torebkę dnem do góry i wszystko z niej wysypał. Kluczyki zalsniły między chusteczkami, kosmetykami, bilonem i starymi listami zakupów. Vicky błyskawicznie wyciągnęła dłoń w ich stronę, ale i tym razem Burt okazał się szybszy.

Schował kluczyki do kieszeni.

- Nie masz prawa mi tego robić - powiedziała z płaczem. - Oddaj mi je natychmiast.

- Nie ma mowy - odparł twardo i popatrzył na nią obojętnie. - Wykluczone.

- Burt, proszę. Tak bardzo się boję.

Nieśmiało wyciągnęła w jego stronę dłoń.

- Poczekalabyś najwyżej dwie minuty i doszła do wniosku, że i tak trwa to stanowczo za długo.

- Nigdy bym...

- Odjechałabyś, śmiejąc się ze mnie w kułak. Mówiłabyś sobie: "To oduczy Burta sprzeciwiać mi się, kiedy czegoś bardzo chcę". Czyż właśnie nie to motto przyświecało ci w czasie trwania naszego małżeństwa? "Oduczę Burta sprzeciwiać się mojej woli".

Wysiadł z samochodu.

- Proszę, Burt - zaskomliła, przesuwając się na jego fotel. - Posłuchaj... wiem... wyjedźmy z miasta i zadzwońmy na policję z pierwszej napotkanej budki telefonicznej. Mam dużo drobnych. Ja po prostu... możemy... nie zostawiaj mnie samej, Burt, nie zostawiaj mnie tu samej!

Zatrzasnął za sobą drzwi, oparł się na chwilę o bok t-birda i nacisnął kciukami gałki oczne. Vicky łomotała od środka w szybę i wołała jego imię. Oj, dostanie mi się, kiedy już znajdę jakiegoś przedstawiciela tutejszych władz i pozbędę się ciała, pomyślał. Oj, będę miał za swoje.

Odwrócił się i pomaszerował wyłożoną kamiennymi płytami alejką w stronę kościelnych drzwi. Zdecydował, że przez dwie, trzy minuty porozgląda się i niezwłocznie wróci do samochodu. Zresztą wedle wszelkiego prawdopodobieństwa kościół i tak będzie zamknięty.

Ale drzwi otworzyły się łatwo i cicho na dobrze naoliwionych zawiasach (naoliwionych z pełnym czci i namaszczenia szacunkiem, błysnęło mu w głowie, i myśl ta wydała mu się, nie wiadomo dlaczego, strasznie śmieszna). Wkroczył do westybulu, w którym panował przenikający do szpiku kości chłód. Burt przez chwilę przyzwyczajał oczy do panującego tam półmroku.

Pierwszą rzeczą, jaką dostrzegł, był stos drewnianych liter porozrzucanych niedbale w odległym kącie. Zaintrygowany, ruszył w tamtą stronę. W przeciwieństwie do reszty westybulu, który był czysty

i nie było w nim krztyny kurzu, litery sprawiały wrażenie starych i zapomnianych, zupełnie jak tamten kalendarz w barze. Rozłożył je na dywanie - wszystkich było szesnaście sztuk - i zaczął tworzyć z nich najprzeróżniejsze kombinacje. PTYS WÓŁ STOK BACIO. Bez sensu. BATYST PÓŁ KOŚCI WÓ. Też źle... nie, KOŚCI. Szybko ułożył słowo KOŚCIOŁ. Zaczął intensywnie wpatrywać się w pozostałe litery. BATYST W PÓ. Idiotypizm. Zabawia się tutaj w dziecięce układanki, a tam, w samochodzie, Vicky dostaje już pomieszania zmysłów. Podniósł się z podłogi i zamierzał ruszyć do wyjścia, kiedy nagle znalazł rozwiązanie. Przykucnął, szybko przesunął literę P, a następnie ustawił na odpowiednich miejscach O i W. KOŚCIOŁ BAPTYSTÓW. Litery te musiały niegdyś tworzyć napis na ścianie frontowej, ale ktoś je usunął i cisnął niedbale w ciemny kąt. Później musiano budynek odmalować, gdyż na frontonie nie było żadnych śladów po napisie.

Dlaczego usunięto nazwę kościoła?

Dlatego, że nie był to już kościół baptystów. W takim razie czy? Z jakichś niejasnych względów pytanie to sprawiło, że po krzyżu przeszedł mu lodowaty dreszcz. Burt szybko wstał z podłogi i otrzepał palce z kurzu. Zgoda, zdjęli z frontonu napis. Ale czego to dowodzi? Może zamienili to miejsce na Kościół Prozaicznych Czynności Flipa Wilsona \*.

Ale co się tu naprawdę stało?

Zniecierpliwiony potrząsnął głową i pchnął drzwi prowadzące do środka kościoła. Popatrzył na nawę główną i poczuł, że mrozi go strach, zaciska stalową obręczą gardło. Głośny oddech Burta mącił spokój nabrzmiałego ciszą pomieszczenia.

Za ołtarzem widniał gigantyczny obraz Chrystusa i Burt pomyślał: Gdyby już nic innego w tym mieście nie wystraszyło Vicky, na widok tego obrazu zaczęłaby wrzeszczeć.

Na twarzy Chrystusa malował się lisi uśmiešek. Oczy miał wielkie, szeroko rozwarte, w niepokojący sposób przypominające Lona Chaneya z *Ducha w operze*. W każdej z ogromnych, czarnych źrenic widniał ktoś (grzesznik zapewne) pławiący się w morzu ognia. Ale najdziwniejsze było to, że Chrystus miał zielone włosy... zielone włosy, które, gdy Burt bliżej im się przyjrzał, okazały się płataniną lodyg i liści kukurydzy. Obraz wykonany został bardzo prymitywnie, ale zarazem był niebywale sugestywny. Zupełnie jak- by namalowało go uzdolnione dziecko - mógł to być Chrystus ze Starego Testamentu albo jakiś inny, pogański Chrystus, który zamiast prowadzić swoje owieczki, zarzyna je w ofierze.

Na końcu lewego rzędu ławek znajdowały się organy piszczałkowe i w pierwszej chwili Burt nie mógł zorientować się, co jest z nimi nie w porządku. Podeszedł zatem do nich lewą nawą i tam dopiero ogarnęło go skrajne przerażenie. Klawisze instrumentu zostały wyrwane, pedały usunięte, a same piszczałki... wypełnione suchymi jak pieprz plewami i kukurydzianym ziarnem. Nad organami widniał starannie wykaligrafowany napis: ZADNEJ MUZYKI Z WYJĄTKIEM TEJ, KTÓRĄ TWORZY. LUDZKI JEZYK, RZECZE PAN.

Vicky miała rację. Działo się tu coś przerażającego. Przez chwilę rozważał pomysł, żeby zaprzestać dalszych poszukiwań, dać sobie spokój z urzędem miejskim, wrócić do samochodu i opuścić miasteczko najszybciej, jak to możliwe. Ale aż skreślił się wewnątrz na myśl o takim rozwiązaniu. Przynaj się uczciwie sam przed sobą, powiedział w duchu. Masz zamiar podarować jej drogi dezodorant „Ban 5000” jako zadośćuczynienie za to, że to ona od samego początku miała rację, a nie ty.

Wróci, ale za kilka minut.

Ruszył w stronę kazalnicy, myśląc: Przecież do Gatlin bez przerwy musi ktoś przyjeżdżać. Przecież w sąsiednich miasteczkach żyją ludzie, którzy mają tu krewnych i przyjaciół. Od czasu do czasu zapewne przejeżdża patrol policji stanowej. A energia elektryczna? Gdyby od dwunastu lat nikt w Gatlin nie używał prądu, natychmiast by to zauważono. Wniosek? To, co się pozornie wyprawia w miasteczku, jest po prostu niemożliwe.

A jednak cały czas dręczył go niepokój.

Wszedł po czterech wyłożonych dywanem stopniach, stanął obok ołtarza i popatrzył na puste rzędy ławek połyskujące w zalegającym świątynię półmroku. Cały czas czuł wlepiony w plecy wzrok tych niesamowitych i z całą pewnością niechrześcijańskich oczu z malowidła.

Na pulpicie, przy którym czyta się lekcję, leżała wielka Biblia otwarta na trzydziestym ósmym rozdziale Księgi Joba. Burt pochylił się nad tekstem i przeczytał: „Potem Pan odpowiedział Jobowi pośród zawieruchy i rzekł: Któż to zaciemnia mój plan słowami bezmyślnymi?... Gdzie byłeś, gdy zakładałem ziemię? Powiedz, jeśli wiesz i rozumiesz” \*.

Pan. Ten Który Przechadza Się Za Rzędami. Powiedz, jeśli wiesz i rozumiesz. I proszę, daj spokój kukurydzy.

---

\* Flip Wilson -- popularny amerykański komik telewizyjny z lat sześćdziesiątych, który często wykpiwał księży i kaznodziejów.

\* Biblia, to jest Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Warszawa 1975, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Księga Joba, 38, 1, 2, 4.

Kartkował Biblię. Stronice głośno i sucho szeleściły – dźwiękiem, jaki wydawałyby duchy, gdyby naprawdę istniały. Ale w miejscu takim jak to łatwo w duchy uwierzyć. Burt spostrzegł, że niektóre partie księgi zostały wydarte, głównie w Nowym Testamencie, a ktoś zadał sobie wiele trudu, żeby dobremu królowi Jakubowi dorysować nożyczki.

Ale sam Stary Testament pozostał nietknięty.

Burt zamierzał właśnie odejść od ołtarza, kiedy ujrzał leżącą na dolnej półce inną księgę. Sięgnął po nią, sądząc, że może to być kościelny rejestr ślubów, confirmacji i pogrzebów.

Skrzywił się na widok napisu wytłoczonego na okładce i umieszczonego na stylizowanym, nieudolnie pozłożonym wizerunku liścia: NIECH NIEGOCINOWI ODJĘTA ZOSTANIE GŁOWA, AŻEBY ZIEMIA PONOWNIE ŻYZNĄ BYĆ MOGŁA, RZECZE PAN ZASTĘPOW.

Wszystko wskazywało na to, że myśli mieszkańców miasteczka biegle tylko jednym torem i były bardzo monotematyczne; Burt jednak niewiele to obchodziło.

Otworzył księgę na pierwszej, poliniowanej szeroko stronnicy. Natychmiast spostrzegł, że pismo wyszło spod ręki dziecka; miejscami wręcz widać było ślady wytartych gumką kleksów. Burt choć nie stwierdził błędów, zauważył, że litery były duże i po dziecinnemu raczej starannie wyrysowane niż napisane. Pochylił się nad pierwszą kolumną.

Amos Deigan (Richard), ur. 04. 09. 1945	04. 09. 1964
Isaac Renfrew (Willam), ur. 19. 09. 1945	19. 09. 1964
Zepeniah Kirk (George), ur. 14. 10. 1945	14. 10. 1964
Mary Wells (Roberta), ur. 12. 11. 1945	12. 11. 1964
Yeman Hollis (Edward), ur. 05. 01. 1946	05. 01. 1965

Burt ze zmarszczonymi brwiami studiował kolejne stronice. Mniej więcej w trzech czwartych księgi podwójna kolumna nieoczekiwanie się kończyła:

Rachel Stigman (Donna), ur. 21. 06. 1957	21. 06. 1976
Moses Richardson (Henry), ur. 15. 08. 1957	
Malachi Boardman (Craig), ur. 15. 08. 1957	

Pod ostatnią pozycją figurowała Ruth Clawson (Sandra), ur. 30. 04. 1961. Burt zerknął na półkę, na której znalazł tę księgę, i po chwili wyciągnął dwie dalsze. Pierwsza nosiła ten sam tytuł: NIECH NIEGODZIWCOWI ODJĘTA ZOSTANIE GŁOWA... i stanowiła kontynuację poprzedniej; pojedyncza kolumna podająca imiona, nazwiska i daty urodzin. Na początku września 1964 roku znalazł Joba Gilmana (Clayton), ur. 16. 09.; kolejny zapis dotyczył Eve Tobin, ur. 16. 06. 1965. Brak drugiego imienia w nawiasie.

Trzecia księga była pusta.

Nie odchodząc zza ołtarza, Burt głęboko się zamyślił.

W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym roku coś się tutaj wydarzyło. Coś, co miało ścisły związek z religią, kukurydzą i... dziećmi.

„Panie błagamy pobłogosław nasze plony. W imię Jezusa Chrystusa, amen”

I oto nóż wznosi się wysoko nad ofiarnym jagnięciem... Jagnięciem?

Zapewne wpadli w manię religijną. Sami, zupełnie sami, odcięci od świata zewnętrznego tysiącami kilometrów kwadratowych szeleszczącej tajemniczo kukurydzy. Samotni pod siedemdziesięcioma milionami akrów błękitnego nieba. Samotni pod czujnym okiem Boga, dziwnego zielonego Boga, Pana kukurydzy; Boga, który jest prastary, obcy i wiecznie głodny. Ten, Który Przechadza Się Za Rzędami.

Burt poczuł, że lodowacieje od środka.

Vicky, pozwól, że opowiem ci pewną historię. Opowiem ci o Amosie Deiganie, który urodził się jako Richard Deigan czwartego września tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym przyjął imię Amos, oryginalne imię ze Starego Testamentu, imię jednego z pomniejszych proroków. No cóż, Vicky, czy wiesz, co się dalej stało? Nie śmieję się. Ow Dick Deigan i jego przyjaciele – między innymi Billy Renfrew, George Kirk, Roberta Wells i Eddie Hollis – stworzyli sobie religię i zabili własnych rodziców. Wszystkich bez wyjątku. Czy to nie koszmarnie? Zastrzelili ich w łózkach, zasztyletowali w wannach, podali zatrute kolacje, powiesili, rozpruli im brzuchy; sam nie wiem co jeszcze.

Dlaczego? Kukurydza. Może przyszła jakaś zaraza, a oni doszli do wniosku, że to kara za to, iż po ziemi chodzi zbyt wielu grzeszników? Ofiar zawsze mało. Zapewne robili to na polach, między rzędami kukurydzy.

Nie mam pojęcia, skąd to wiem, Vicky, ale jestem święcie przekonany, iż zdecydowali, że każdy z nich powinien żyć dziewięćset lat. Richard „Amos” Deigan, bohater naszej historii, swoje dziewięćset lat obchodził czwartego września tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku – datę tę znam z księgi. Sądzę, że go zabili. Złożyli w ofierze kukurydzy. Czyż to nie urocza historyjka?

Ale teraz posłuchaj o Rachel Stigman, która do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego była Donna Stigman. Dziewiętnaście lat skończyła dwudziestego pierwszego czerwca – mniej więcej miesiąc temu. Moses Richardson urodził się dwudziestego dziewiątego lipca – a więc urodziny będzie obchodził za trzy dni. Jak myślisz co się przytrafił pocziwemu Mosesowi dwudziestego dziewiątego bieżącego miesiąca.

Bo ja chyba wiem.

Burt oblizał suche nagle wargi.

Vicky, i jeszcze jedno. Spójrz na to. Mamy tutaj Joba Gilmana (Claytona) urodzonego szóstego września tysiąc dziewięćset sześć- dziesiątego czwartego roku. Aż do szesnastego czerwca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego nie notujemy żadnych naro- dzin. Dziesięćmiesięczna luka. Wiesz, co myślę? Myślę, że pozabijali już wszystkich swoich rodziców, nawet matki w ciąży. A później jedno z nich -jedna - w październiku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku zaszła w ciążę i dała życie Eve; któraś z tych szesnasto-, siedemnastoletnich dziewcząt. Eve! Pierwsza kobieta!

Ponownie gorączkowo przekartkował księgę i zatrzymał się przy Eve Tobin. Pod nią znajdowała się jeszcze jedna pozycja: "Adam Greenlaw, ur. 11.07.1965".

Powinno być ich zatem jedenaścioro, pomyślał i poczuł gęsią skórkę. Być może gdzieś się tutaj czają. Gdziekolwiek.

Ale jak to możliwe? Jak taką rzecz dało się utrzymać w sekrecie? Jak mogło to trwać aż tyle lat?

Chyba że sam Bóg wyraził na to zgodę.

- Jezu słodki! - mruknął na głos Burt i w tej samej chwili rozległ się klakson t-birda.

Ciągły sygnał.

Burt zerwał się jak oparzony. Odskoczył od ołtarza i pobiegł środkową nawą. Z impetem pchnął drzwi wyprowadzające z westybulu przed kościół i stanął pod palącymi promieniami słońca. Doznał zawrotu głowy. Vicky siedziała za kierownicą nienaturalnie wyprostowana. Ręce trzymała na klaksonie i gwałtownie odwracała głowę to w lewo, to w prawo.

Ze wszystkich stron nadchodziły dzieci. Niektóre radośnie się śmiały. Niosły noże, siekiery, stalowe rurki, kamienie, młotki. Jedna z dziewczynek, ośmioletni zapewne szkrab z pięknymi, jasnymi jak u aniołka włosami, dźwigała lewarek do podnoszenia samochodów. Chłopska broń. Ani jednego karabinu, ani jednego rewolweru. Burt poczuł straszną ochotę, żeby wrzasnąć: "Który z was jest Adamem? Która z was jest Eve? Które są matkami? Które są córkami? A ojcowie? Synowie?"

Powiedz, jeśli wiesz i rozumiesz.

Dzieciaki mrowiły się, wynurzały z bocznych uliczek, zza drzew, przełaziły przez zrobione z łańcuchów ogrodzenie otaczające szkolne boisko przy pierwszej przecznicy po zachodniej stronie miasteczka. Niektóre spoglądały obojętnie na Burta, który jak wmurowany stał na prowadzących do kościoła schodach. Inne szturchały się wzajemnie, wskazywały go palcami i... przesyłały mu serdeczne, dziecięce uśmiechy.

Dziewczeta miały na sobie długie, brązowe, wełniane sukienki i spłowiałe narzutki. Chłopcy, niczym pastorzy kwaków, nosili się na czarno, a głowy nakrywali niskimi kapeluszkami o sztywnych rondach. Dzieciaki płynęły potokami przez miejski rynek, po trawnikach, niektóre przechodziły przez dziedziniec kościoła, który do roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego był kościołem baptystów. Mijały Burta tak blisko, że mógł ich dotknąć. Wszystkie kierowały się w stronę samochodu.

- Strzelba! - wrzasnął Burt. - Vicky, strzelba!

Ale ona była sparaliżowana ze strachu; widział to nawet z daleka, z kościelnych schodów. Wątpił wręcz, czy przez zasunięte szyby w ogóle dotarł do niej jego głos.

Dzieciarnia skupiła się przy t-birdzie. Siekiery, tasaki, stalowe rurki zaczęły rytmicznie wznosić się i opadać. Mój Boże, a ja na to patrzę! - błysnęło mu w głowie, ale stał niczym słup soli. Z boku samochodu odpadły chromowane listwy. W powietrzu poszybowały ozdoby maski. Kiedy przerżnięto nożami opony, pojazd osiadł nisko na felgach. Klakson grzmiał i grzmiał. Przednia i boczne szyby pokryły się tysiącem rys, zmatowiały pod wpływem gwałtownych ciosów... pękły i wpadały do środka. Burt ponownie ujrzał Vicky. Kuliła się w fotelu i już tylko jedną dłonią naciskała klakson; drugą zasłaniała twarz. Niecierpliwie, młode ręce sięgnęły do blokady drzwi. Vicky, jak oszalała, tłukła oplatając ją dłońmi. Dźwięk klaksonu zaczął się rwać, aż w końcu umilkł na dobre.

Nagle poobijane i pogieęte drzwi otworzyły się z rozmachem. Dzieci próbowały wywlec Vicky z auta, ale ta wciąż kurczowo trzymała się kierownicy. Wtedy jedno z nich pochyliło się i wsadziło tułów do samochodu. W dłoni ścisnęło nóż...

Na ten widok Burta opuściło całe odrętwienie. Potykając się na schodach kościoła, ruszył biegiem w stronę t-birda. Jeden z dzieciaków, chłopak w wieku mniej więcej szesnastu lat, z długimi, rudymi włosami opadającymi spod kapelusza na ramiona, spojrzał obojętnie w jego stronę i w powietrzu coś śmignęło. Burt odniósł absurdalne wrażenie, że dostał w ramię cios z dystansu. Potem poczuł taki ból, że aż pociemniało mu w oczach.

Głupkowato spoglądał na swoją rękę. Warty półtora dolara nóż marki "Pensy" sterczał mu z ramienia niczym jakaś dziwaczna narośl, a rękaw sportowej koszuli J. C. Penneya błyskawicznie

nasiąkał krwią. Przez długą niczym wieczność chwilę Burt gapił się na nóż, rozmyślając idiotycznie, skąd wziął się w jego ramieniu.

Kiedy uniósł głowę, ujrzał, że rudzielec jest tuż-tuż. Jego uśmiech świadczył o absolutnej pewności siebie.

- Ty skurwysynu! - ryknął ochryplym z emocji głosem Burt.
- Poleć duszę Bogu, bo za chwilę staniesz przed Jego tronem! - zawołał rudowłosy chłopak, wyciągając dłonie w kierunku twarzy Burta.

Ten zrobił krok do tyłu, wyrwał z rany nóż i wbił go prosto w gardło rudzielca. Z szyi trysnął strumień krwi i ochlapał Burta, a z krtani płomiennowłosego wyrostka dobył się obrzydliwy bulgot. Dzieciak, zataczając się jak pijany, zaczął chodzić w kółko. Sięgnął po sterzący z gardła nóż i bezskutecznie próbował go wyciągnąć. Burt obserwował to z rozdziawionymi ustami.

Nie, to wszystko nie działo się naprawdę. Wszystko to było snem. Rudowłosy chłopak krążył i krążył. Nieustannie gulgotał; jedyny hałas mącący martwą ciszę popołudnia. Pozostałe dzieci spoglądały na niego w osłupieniu.

Tego w scenariuszu nie było, pomyślał tępo Burt. W scenariuszu byłem tylko ja i Vicky. I chłopiec z kukurydzy, który próbował uciec. Ale żadne z nich!

Popatrzył na dzieciaki dzikim wzrokiem.

I jak wam się to podoba? - chciał wrzasnąć.

Rudzielec wydał ostatni, cichy bulgot, a potem miękko osunął się na kolana. Popatrzył jeszcze przelotnie na Burta, puścił rękojeść noża i upadł na ziemię.

Od strony zgromadzonej wokół t-birda dzieciarni dobiegło zbiorowe westchnienie. Malcy patrzyli na Burta, a Burt z jakąś dziwną fascynacją spoglądał na nich... ale zauważył, że w aucie nie ma już Vicky.

- Gdzie ona jest? - zapytał podniesionym głosem. - Gdzieście ją zabrali?

Jeden z chłopców uniósł skrwawiony nóż myśliwski, przysunął go sobie do gardła i wykonał taki ruch, jakby coś piłował. Wy- szczyrzył zęby w ironicznym grymasie. Odpowiedź była jedno- znaczna.

- Brać go! - krzyknął jeden ze starszych chłopców.

Dzieci powoli ruszyły ławą, więc Burt się cofnął. Przyspieszyły kroku. Burt również. Strzelba, cholerna strzelba! Ale w tej chwili było to marzenie ściętej głowy. Na przykościelnym trawniku zamajaczyły groźne cienie dzieci. Burt wyskoczył na ulicę.

Zaczął biec.

- Zabić go! - ryknął ktoś za jego plecami, a dzieciarnia hurmem ruszyła w pościg.

Nie uciekał na ślepo. Nie kierował się do budynku urzędu miejskiego, bo tam osaczyłyby go jak szczura. Pobiegł ulicą Główną, która dwie przecznice dalej znów przekształcała się w normalną szosę. Gdyby nie jego głupi upór, jechałby nią teraz spokojnie razem z Vicky.

Mokasyny rytmicznie biły w płyty trotuaru. Przed sobą ujrzał kilka biurowców, lodziarnię i -jakżeby inaczej! - kino "Bijou". Nad wejściem widniał wielki, pokryty grubą warstwą kurzu napis: DZ S W PROG AMI KLEOPA RA Z ELI A TH TAYLOR. Za ostatnim skrzyżowaniem, na samym końcu miasteczka, znajdowała się stacja benzynowa, a dalej po obu stronach drogi rozciągały się już tylko bezkresne łąny kukurydzy. Zwarta, zielona, sfalowana ściana.

Biegł. Z trudem łapał dech i bardzo dokuczało mu zranione ramię. Zostawiał za sobą ślady krwi. W biegu wyciągnął z kieszeni chusteczkę do nosa i wsunął ją pod koszulę.

Biegł. Mokasyny równo uderzały w chodnik wyłożony popękkanymi płytami. Coraz trudniej przychodziło mu złapać oddech. Ramię pulsowało okropnym bólem. Jakaś część umysłu zadawała mu pytanie, czy zamierza tak biec do najbliższego miasteczka, czy zdoła przebiec po tej asfaltówce czterdzieści kilometrów.

Biegł. Za sobą słyszał odgłosy zbliżającej się pogoni; ścigającej go sfory młodszych o piętnaście lat dzieciaków. Ich stopy łomotały po nawierzchni. Dzieciarnia wrzeszczała bezustannie. Doskonale się bawia, pomyślał zupełnie bez związku Burt. Będą o tym rozprawiać przez lata.

Burt biegł.

Minął stojącą na krańcach miasta stację benzynową. Ciężko dyszał, ból rozdzierał płuca. Pod nogami migwały mu płyty chodnika. Pozostawało tylko jedno wyjście, miał jedną szansę, żeby przechrzyć prześladowców i ująć z życiem. Domy się skończyły, miasteczko miał już za plecami. Po obu stronach drogi falowała miękko kukurydza. Zielone liście, przypominające kształtem miecze, szeleściły cicho. Zanurzy się głęboko w chłodnych, cienistych rzędach wysokiej na człowieka kukurydzy.

Nie ustając w biegu, minął napis: OPUSZCZACIE GATLIN, NAJSYMPATYCZNIEJSZE MAŁE MIASTECZKO W NEBRASCE I... NA CAŁYM ŚWIECIE! WPADNIJCIE DO NAS KIEDYS JESZCZE RAZ.

O, tak, z całą pewnością jeszcze was odwiedzę, pomyślał ponuro Burt.

Tablicę minął niczym sprinter, który widząc taśmę mety, zaczyna finiszować. Zboczył w lewo, przebiegł w poprzek szosę i zrzucił z nóg mokasyny. Znalazł się w kukurydzy, która zamknęła się wokół niego, pochłonęła go jak szmaragdowe fale morza, skryła w swoim zielonym wnętrzu. Doznał ogromnej ulgi, a jednocześnie jakby złapał drugi oddech. Płuca, które nie były już zdolne pompować powietrza, nagle rozkurczyły się i Burt ponownie mógł swobodnie oddychać pełną piersią.

Pobiegł prosto rzędem, który wprowadził go w łan. Posuwał się z pochyloną głową, szerokimi ramionami rozgarniał liście. Po dwudziestu metrach skrzył pod kątem prostym w prawo i zaczął przemieszczać się równoległe do drogi. Biegł jak najbardziej schylony, tak żeby ścigający nie mogli dostrzec jego głowy między żółtymi kitkami kaczanów kukurydzy. Przebył kilkanaście rzędów, ponownie odwrócił się plecami do szosy i, zmieniając na chybił trafił rzędy, coraz bardziej zaczął zagłębiać się w zbity, zielony gąszcz.

W końcu opadł na kolana, wygiął grzbiet w łuk i przyłożył czoło do chłodnej ziemi. Ciężko dyszał, a pod czaszką kołatała mu obsesyjnie tylko jedna myśl: Chwała Bogu, że rzuciłem palenie, chwała Bogu, że rzuciłem palenie, chwała Bogu...

I wtedy ponownie usłyszał dzieci. Przeczesując gąszcze kukurydzy, biegały jak oszalałe, nawoływały się i buszując żywiołowo, wpadały na siebie ("Hej, to mój rząd!"). Burta bardzo to podniosło na duchu. Raz, że pogoń znajdowała się daleko po lewej stronie, a dwa, że prowadzona była bez głowy i bardzo chaotycznie.

Wyciągnął spod koszuli chusteczkę, rzucił okiem na ranę, złożył od nowa prowizoryczny opatrunek i jeszcze raz owinał nim ramię. Mimo ogromnego wysiłku, jaki włożył w ucieczkę, jakimś szczęśliwym zrządzeniem losu rana przestała krwawić.

Chwilę jeszcze odpoczywał, aż nagle uświadomił sobie ze zdumieniem, że czuje się wyśmienicie, że od lat nie czuł w sobie takiej krzepy i rozsadzającej go energii... tylko rozdarte nożem ramię pulsowało bólem. Rozpierało go poczucie własnej siły i nieoczekiwanie zrozumiał, że po dwóch upiornych latach demony małżeństwa, które dzień po dniu drenowały go do sucha, odeszły i jest wolny.

Nie, nie powinienem tak myśleć, błysnęło mu w głowie. Ciągle jeszcze zagrażało mu śmiertelne niebezpieczeństwo, a jego żonę gdzieś zabrano i zapewne już nie żyje. Próbował przywołać w pamięci rysy Vicky, próbował przypomnieć sobie wszystkie dobre chwile, jakie z nią spędził, ale w głowie miał pustkę. Przed oczyma ciągle pojawiał mu się obraz rudowłosego chłopca ze sterczącym z gardła nożem.

Nagle z całą mocą dotarła do jego świadomości woń wydzielana przez kukurydżę. Buszujący w czubkach roślin wiatr tworzył dźwięk do złudzenia przypominający ludzkie głosy; kojący dźwięk. Cokolwiek zrobiono w imię kukurydzy, teraz ona była jego obrońcą.

Ale oni byli coraz bliżej.

Pochylony, pobiegł rzędem, w którym się znajdował, ale niebawem skrzył i przeciął kilkanaście sąsiednich. Cały czas starał się utrzymywać ścigających po lewej stronie, lecz w miarę upływu czasu stawało się to coraz trudniejsze. Głosy bobrujące w zbożu dzieciarni cichły, coraz częściej szelest zarośli kompletnie je tłumił. Burt biegł, przystawał, nasłuchiwał i znów biegł. Ziemia była mocno ubita, toteż jego stopy w samych tylko skarpetkach nie zostawiały praktycznie śladów.

Kiedy dużo później ponownie zatrzymał się na odpoczynek, słońce, wędrujące po niebie po jego prawej stronie, wisiało już nad polami bardzo nisko. Spojrzał na zegarek; było kwadrans po siódmej. Promienie malowały jeszcze złotem czubki kukurydzy, ale w gąszczu zarośli cień już gęstniał, stawał się coraz głębszy. Burt nastawił bacznie uszu. Wraz ze zbliżającym się zmrokiem wiatr zupełnie ucichł i bezkresne pola kukurydzy znieruchomiały. Wszystko przesączała ciężka woń roślin. Jeśli ścigający ciągle jeszcze przebywali tutaj, to albo musieli być już bardzo daleko, albo też zatrzymali się w jakimś miejscu i również nasłuchiwali. Ale Burt nie sądził, żeby dzieciaki, nawet tak szalone jak te z Gatlin, potrafiły dłużej usiedzieć w spokoju. Podejrzewał, że zrobiły najbardziej dziecinną rzecz, jaką mogły w tej sytuacji zrobić, to znaczy, nie licząc się zupełnie z konsekwencjami swego czynu, po prostu beztrudno wróciły do domów.

Popatrzył na zachodzące słońce, które wsiąkało właśnie w stojące tuż nad horyzontem chmury i podjął marsz. Jeśli będzie poruszał się po przekątnej do rzędów, mając ciągle przed sobą słońce - a zatem zachód - wcześniej czy później dotrze do szosy 17.

Ból w ramieniu przeszedł w tępe, prawie przyjemne pulsowanie i Burta nie opuszczał dobry nastrój. Postanowił, że dopóki będzie przebywać w kukurydzy, nie dopuści do siebie żadnych przykrych myśli. Na żal, niepokój i poczucie winy przyjdzie czas, kiedy stanie już przed władzami, którym złoży dokładny raport o wszystkim, co wydarzyło się w Gatlin. Ale to była jeszcze bardzo odległa przyszłość.

Przedzierając się przez spleątany, zbity gąszcz pomyślał, że nigdy w życiu nie był tak czujny. Po piętnastu minutach już tylko połówka słońca wisiała nad horyzontem. Przystanął. Coś wyczuł; coś, co bardzo mu się nie spodobało. Refleksja była mglista i nie-jasna...

Uniósł bacznie głowę. Kukurydza szeleściła. Fakt ten docierał do jego świadomości od dłuższego już czasu, ale jak wszystkie inne nieprzyjemne odczucia, to spostrzeżenie Burt również odsuwał od siebie. Lecz dłużej już nie mógł nie zwracać na to uwagi. Przecież powietrza nie maćił najbliższy podmuch wiatru! Dlaczego więc kukurydza szeleści?

Rozejrzał się uważnie. Oczekiwał, że w każdej chwili ujrzy wynurzających się z gęstych zarośli uśmiechniętych chłopców w kwakerskich kapeluszkach. W rękach ścisnąć będą noże... Nic takiego się nie wydarzyło. Jedyne ów nieustanny, niepokojący szelest. Dobiał z lewej strony.

Ruszył w tamtym kierunku wzdłuż rzędu. Do celu dotarł jak po sznurku. Przed nim rząd się kończył. Kończył? Tak, zatracał się w niewielkiej polance wyciętej w równych rzędach kukurydzy. Stamtąd właśnie dobiegał złowieszczy szelest.

Ogarnięty nagłym lękiem, Burt przystanął. Zapach kukurydzy był tu tak intensywny, że odurzał. Ziemia i rośliny przez cały dzień magazynowały ciepło słoneczne, więc w jednej chwili Burt stwierdził, że jest zlepiony potem, że we włosach ma pełno cienkich i delikatnych jak pajęcza przędza wąsów kukurydzianych, a na ubraniu pełno żdziebeł. Ale przede wszystkim w powietrzu powinny unosić się roje owadów... a przecież nie było ani jednego.

Stał w bezruchu i spoglądał nieruchomym wzrokiem w stronę, gdzie zarośla przechodziły w rozległy krąg gołej ziemi.

Nie było tam ani meszek, ani komarów, ani pajaków czy pluskiew polnych; nie było niczego, co Vicky jeszcze w czasach, kiedy się do siebie zalecali, nazywała "bździągkami". Na to wspomnienie Burtowi ścisnęło się serce. Uderzył go inny, niepokojący szczegół: brak wron. Jak to? Pole pełne dojrzałej kukurydzy i nie ma wron?

W ostatnich przeblaskach dziennego światła popatrzył na wysmukłe łodygi po swojej lewej stronie. Ujrzał, że każda z nich, każdy najmniejszy listek, najdrobniejsza szypułka są w idealnym stanie; a to już po prostu zakrawało na absurd. Żadnych połamanych liści, żadnych gąsienic, pajęczyn; śladów żyjących pod ziemią szkodników, żadnych mrówek...

Oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia.

Boże wielki, tam nie było nawet chwastów!

Śladu chwastów. Dokładnie co pół metra z ziemi wyrastała łodyga kukurydzy. Żadnego perzu, kākoli, trawy, mleczy czy szkarłatki. Nic.

Burt patrzył na to szeroko rozwartymi, nie rozumiejącymi oczyma. Niebo po zachodniej stronie pociemniało. Nad samym horyzontem stał niewielki wał przedwieczornych chmur. Pod nimi blask słońca barwił się kolorami starego złota, różu i ochry. Niebawem miał zapaść zmrok.

Najwyższy czas udać się na polanę i osobiście ją zbadać. A może właśnie na tym zasadzał się cały plan? Może chodziło o to, żeby Burt, myśląc, że kieruje się w stronę szosy, cały czas podążał dokładnie w to miejsce?

Czując w żołądku lodowate igły strachu, zbliżył się do końca rzędu i stanął u wejścia na polanę. Resztki dziennego światła pozwoliły zobaczyć mu wszystko z przerażającą dokładnością. Nie był w stanie wydać z siebie nawet krzyku. Po prostu w ułamku sekundy zabrakło mu powietrza w płucach. Nogi miał nieruchawe niczym dwie kłody drewna. Oczy wyszły mu z orbit.

- Vicky - szepnął. - Boże wielki, Vicky...

Przypięta była do dwóch skrzyżowanych słupów. Nadgarstki i kostki przyspilał jej do pali zwykły kolczasty drut, który można kupić w sklepie z artykułami żelaznymi po siedemdziesiąt centów za metr. Miała wydarte oczy; z oczodołów sterczały jej pęki kukurydzianych wąsów; rozwarłe w niemym krzyku usta wypełniało suche ziarno i plewy.

Obok poniewierał się szkielet owinięty w resztki przegniłej komży. Czaszka szczyrzyła obnażone zęby. Oczodoły zdawały się spoglądać figlarnie na Burtę; zupełnie jakby były pastor kościoła baptystów mówił: "Nie jest źle, nie jest źle zostać złożonym w ofierze kukurydzy przez pogańskie dzieci szatana, nie jest źle, jeśli w myśl Prawa Mojżeszowego wydrą ci oczy z czaszki..."

Obok szkieletu w komży leżał inny szkielet w spleśniałym, niebieskim mundurze. Opuszczony na czoło kapelusze osłaniał puste oczodoły. Na nakryciu głowy widniała zaśnieżona plakietka: KONSTABL.

I wtedy Burt usłyszał, że coś nadchodzi; nie były to dzieci. Przez płataninę liści do polany zbliżało się coś o wiele większego. Nie dzieci; z całą pewnością nie dzieci. Dzieci nie odważyłyby się wejść nocą w bezkresne łąny. Było to miejsce święte, miejsce Tego, Który Przechadza Się Za Rzędami.

Ogarnięty przerażeniem rzucił się do ucieczki. Ale rząd, którym tu przybył, zamknął się. Wszystkie rzędy się zamknęły. A to coś nieubłagane się zbliżało... Burt słyszał, jak przeciska się przez gęstwinę, słyszał, jak oddycha... Przejęła go najwyższa zgroza. To nadchodziło. Kukurydza po przeciwnej stronie polany pociemniała, jakby padł na nią jakiś gigantyczny cień.

Nadchodził.

Ten, Który Przechadza Się Za Rzędami.

Wyłaził na polanę. Burt ujrzał coś ogromnego, majaczącego na tle nieba... coś, co było zielone i miało przerażające, czerwone ślepie, wielkie jak piłki footballowe.

Coś, co śmierdziało jak suche ziarno kukurydzy przechowywane przez rok w ciemnej stodole.

Burt zaczął krzyczeć. Ale nie mógł krzyczeć długo.

Jakiś czas później na niebo wzeszedł opasły, pomarańczowy księżyc.

Następnego dnia, w południe, dzieci kukurydzy stały na polance, patrząc na dwa szkielety i na dwa ciała... ciała nie były jeszcze szkieletami, ale niedługo będą. W swoim czasie. A tutaj, w samym sercu Nebraski, w kukurydzy, nie istniało nic poza czasem.

- I oto sen miałem ostatniej nocy, i Pan mi to wszystko ukazał.

Wszyscy, nawet Malachi, popatrzyli na Isaaca z lękiem i zadziwieniem. Isaac miał zaledwie dziewięć lat, ale od czasu, kiedy przed okiem kukurydza zabrała Davida, on był Prorokiem. David skończył dziewiętnaście lat, więc w dzień urodzin, kiedy na letnie pola kładł się wieczorny mrok, udał się do kukurydzy.

Isaac, chłopiec z drobną twarzą ocienianą szerokim, sztywnym rondem kapelusza, ciągnął:

- A w moim śnie Pan był cieniem, który krył się za rzędami i odezwał się do mnie słowy, jakich używał w rozmowie z naszymi starszymi braćmi w minionych latach. Bardzo był nierad z ostatniej ofiary.

Dzieci wydały cichy, płaczliwy jęk i popatrzyły na osaczające ich ze wszystkich stron ściany zieleni.

- I rzekł Pan: "Czyż nie dałem wam miejsca do zabijania" po to, abyście w nim składali ofiary? Czyż nie okazałem wam łaski? Ale ten mężczyzna bluźnił mi i sam musiałem dokonać ofiary. Tak samo jak miało to miejsce w przypadku Niebieskiego Człowieka i fałszywego kapłana, którzy przed laty uciekli".
- Niebieski Człowiek... fałszywy kapłan - szepnęły dzieci, spoglądając po sobie z bojaźnią.
- "Tak zatem obniżam Wiek Łaski siejby i żniwa z dziewiętnastu na osiemnaście" - ciągnął bezlitośnie Isaac. - "A jednak pozostaniecie płodni i liczni niczym kukurydza, kiedy okażę wam łaskę, która zostanie z wami".

Isaac zamilkł.

Oczy wszystkich skierowały się na Malachiego i Josepha, jedynych, którzy w tej grupie ukończyli osiemnaście lat. W miasteczku pozostało ich jeszcze około dwudziestu...

Czekali, co powie Malachi, Malachi, który kierował pościgiem za Jephathem; Jephathem, co po wsze czasy znany będzie jako Ahaz - przeklęty przez Boga. To właśnie Malachi poderżnął Ahazowi gardło i wyrzucił jego ciało z kukurydzy, żeby obrzydliwe zwłoki nie bezcześciły zboża i nie rzucały złego uroku.

- Będę posłuszny słowu Pana - szepnął Malachi.

Kukurydza najwyraźniej westchnęła z aprobatą.

W nadchodzących tygodniach dziewczęta miały wykonać więcej kukurydzianych krucyfiksów, żeby odpędzić zło.

A tej samej jeszcze nocy wszyscy, którzy przekroczyli Wiek Łaski, poszli w milczeniu w kukurydzę i dotarli na polanę, żeby osiągnąć na zawsze łaskę Tego, Który Przechadza Się Za Rzędami.

- Żegnaj, Malachi! - zawołała Ruth, machając mu z rozpaczą ręką.

Miała duży brzuch, ponieważ pod sercem nosiła dziecko Malachiego. Po policzkach płynęły jej strumienie łez. Malachi nawet się nie odwrócił. Szedł przed siebie wyprostowany.

Pożarła go kukurydza.

Ruth odwróciła się z płaczem. Czuła nienawiść do kukurydzy i czasami skrycie pragnęła pójść na pola z pochodnią - pójść tam we wrześniu, kiedy łodygi są już suche i łatwo palne. Ale się bała. Nocami kryło się w nich coś, co wiedziało wszystko... znało najskrytsze pragnienia i sekrety ludzkiego serca.

Zmierzch przeszedł w głęboką ciemność nocy. Wokół Gatlin tajemniczo szeleściła i szeptała kukurydza.

Była zadowolona. .

**KONIEC**

**Skanował: Mando**  
**www.StephenKing.one.pl**